

Nasz tymczasowy nadzorca

Thomas Ligotti

Wysłałam ci niniejszy rękopis, abys opublikował go za granicą (o ile w ogóle do ciebie dotrze), ponieważ wierzę, że konsekwencje opisanej tu historii dotyczą nawet ludzi spoza mojej ojczyzny, a tym samym – o ile mi wiadomo – ludzi spoza zasięgu wpływów Organizacji Quine. Ktoś o takim rozeznaniu dziennikarskim jak Ty zapewne wie, że te dwa byty, z których jeden może być określony jako jednostka polityczna, drugi zaś jako jednostka czysto komercyjna, są w zasadzie tożsame. Dlatego też po mojej stronie granicy można równie dobrze nazwać się *obywatelem* Organizacji Quine, albo Q. Org National, chociaż sędzę, że nawet Ty nie możesz w pełni wiedzieć na czym ta identyczność polega - otóż za mego życia jedna z tych jednostek całkowicie wchłonęła drugą. Takie twierdzenie może się wydawać przesadzone lub histeryczne komuś po twojej stronie granicy, gdzie jesteśmy często postrzegani – i dobrze to wiem – jako ludzie nieco wsteczni, zamieszkujący małe, rozkładające się miasteczka rozrzucone po nizinnym krajobrazie, przez niemal okrągły rok osnute gęstą, szarawą mgłą. W ten właśnie sposób Organizacja Quine, będąca jednocześnie moją ojczyzną, zwodniczo przedstawia się światu i właśnie dlatego jest mi spieszno, by opowiedzieć tę historię.

Zaczynając – pracuję w fabryce położonej zaraz obok jednego z tych małych, rozkładających się miasteczek, niemal przez cały rok osnutych mgłą.

Budynek fabryki jest nijaką, jednopiętrową konstrukcją, wykonaną

całkowicie z betonowych pustaków i cementu. Jego wnętrze wypełnia przestrzeń robocza, dzieląca się na pojedynczą halę oraz niewielkie, położone w rogu biuro z oknami o matowym szkle. W biurze tym znajduje się kilka szafek na akta oraz biurko, przy którym zasiada nadzorca fabryki. Pozostali pracownicy stoją po czterech przy kilku kwadratowych „stanowiskach montażowych” – jeden po każdej stronie – a ich jedynym zadaniem jest ręczne składanie metalowych części dostarczanych nam przez inną fabrykę. Nikt, kogo bym nie spytał, nie miał najmniejszego pojęcia, do jakiej maszyny – o ile to w ogóle była maszyna – służyły te części.

Kiedy podejmowałem pracę w fabryce, nie zamierzałem pozostać przy niej zbyt długo - kiedyś miałem bowiem wyższe aspiracje co do mego życia; obraz tych aspiracji był jednak w mym młodym umyśle raczej mętny. Mimo, że praca nie była zbyt wymagająca, a współpracowników miałem dość przyjaznych, to jednak nie wyobrażałem sobie, bym miał na zawsze już stać przy wyznaczonym mi stanowisku montażowym, dopasowując jedne kawałki metalu do innych, z nielicznymi przerwami na odpoczynek w ciągu dnia, z których jedna miała oderwać nasze umysły od monotonii pracy, a druga być przerwą na posiłek, pozwalającą odżywić nasze ciała. Jakoś nigdy do mnie nie dotarło, że miasto, w którym żyłem ja oraz inni robotnicy z fabryki, podróżujący do miejsca pracy i z powrotem tą samą osnutą mgłą drogą, nie ofiarowywało żadnych szczególnych możliwości ani mnie, ani nikomu innemu; zapewne właśnie w tym leżały przyczyny mętnego, mglistego charakteru moich młodzięcych aspiracji.

Tak się stało, że w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy pracowałem w fabryce, zaszła jedyna zmiana, jaka kiedykolwiek naruszyła codzienną rutynę

funkcjonowania owej montażowni, jedyne odchylenie od trwającego niezliczone lata rytuału. Początkowo ów wybieg od naszej robotniczej codzienności nie dawał żadnego szczególnego powodu do obaw czy niepokoju. Nie było to nic, co skłoniłoby pracowników fabryki do zmiany dawki czy rodzaju leków, które były im wszystkim zapisane - a po tej stronie granicy wszyscy, włącznie ze mną, biorą jakieś leki, co zapewne wynika częściowo z układu, jaki został zawarty w moim kraju, na mocy którego wszyscy doktorzy i farmaceuci są opłacani przez Organizację Quine - firmę posiadającą duży wydział farmaceutyczny.

Tak czy inaczej, w dniu, w którym została ogłoszona wspomniana wcześniej zmiana, nadzorca fabryki wyszedł ze swego biura i - co stanowiło rzadkość - ukazał się na hali, gdzie staliśmy ścieśnieni wokół przypisanych nam bloków montażowych. Po raz pierwszy odkąd tu pracowałem, nasza praca była wstrzymana *pomiędzy* chwilami przerwy, które robiliśmy sobie dla orzeźwienia umysłu lub dla odżywienia naszych ciał. Nasz nadzorca, pan Frowley, był człowiekiem masywnym, choć niegroźnym. Poruszał się i mówił w sposób letargiczny, co może spowodowane było masą jego ciała, a może lekami, które zażywał – ich efektem ubocznym, albo i tym pożądanym. Pan Frowley z mozolem dotarł na środek hali, po czym zwrócił się do nas ociężale.

„Zostałem wezwany w sprawach firmowych,” poinformował nas. „Pod mą nieobecność zastąpi mnie tymczasowo nowy nadzorca. Będzie tak od jutra, kiedy przyjdziecie rano do pracy. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo to potrwa.”

Następnie spytał, czy ktoś z nas ma do niego jakieś pytania w związku z

tą całkiem doniosłą sytuacją, choć sam pracowałem w fabryce wtedy jeszcze zbyt krótko, aby w pełni pojąć niezwykłość tego zdarzenia. Nikt nie miał pytań do pana Frowley'a, a przynajmniej nikt nie zadał żadnych pytań na głos, pan Frowley ruszył więc z powrotem do swego biura w rogu o matowych szybach.

Jak tylko pan Frowley ogłosił, że został wezwany w sprawach firmowych i że w tym czasie fabryka będzie zarządzana przez tymczasowego nadzorcę, pośród moich współpracowników podniósł się oczywiście szmer, co to wszystko mogło właściwie oznaczać. Według pracowników, którzy pracowali tu dłuższy czas, coś takiego nie wydarzyło się w tej fabryce nigdy wcześniej – mówili tak nawet ci, którzy - jak przypuszczałem - osiągnęli już taki wiek, że mogliby zostawić swoją pracę i przejść na dobrze zasłużoną emeryturę – po spędzeniu całego swego dorosłego życia na staniu przy tym samym bloku montażowym i składaniu kawałków metalu. Jednak pod koniec dnia, kiedy to wychodziliśmy z fabryki, idąc mglistą drogą z powrotem ku miastu i do naszych domów, szepty te dawno już ucichły.

Z nieznanego mi powodu, tej nocy nie mogłem zasnąć. Zwykle, po całym dniu stania na nogach i składania jednego kawałka metalu za drugim, niezmiennie w tej samej konfiguracji, zasypanie przychodziło mi z łatwością. Teraz jednak przewracałem się w łóżku, a owa czynność montażu ciążyła na moim umyśle pełnią swej powtarzalności, bezkresności i całkowitego oderwania od wszelkiej wyobrażalnej dla mnie celowości. Pierwszy raz w życiu zaczęło mnie zastanawiać, w jaki sposób powstają składane przez nas części. Moje myśli na próżno próbowały sięgnąć aż do ich początków w najsurowszej postaci - do substancji wydobywanej

przypuszczalnie z ziemi, poddawanej pewnemu procesowi obróbki, a następnie kształtowanej w jakiejś fabryce, albo serii fabryk, aż w końcu docierała ona na miejsce, gdzie byłem zatrudniony. Z jeszcze większym poczuciem daremności próbowałem sobie wyobrazić, gdzie te metalowe kawałki zostają dostarczane po tym, jak już złożymy je tak, jak nas wyszkolono; mój umysł galopował w ciemnościach pokoju, próbując pojąć ich ostateczny cel i przeznaczenie. Nigdy wcześniej nie nurtowały mnie tego rodzaju pytania. Nie było sensu zajmować się takimi rzeczami, gdyż zawsze miałem wyższe aspiracje co do życia, które pozostawało mi po godzinach pracy w fabryce. W końcu wstałem z łóżka i wziąłem dodatkową porcję leków. Dało mi to chociaż te parę godzin snu przed czasem, kiedy ponownie musiałem stawić się w pracy.

Każdego ranka, kiedy wchodziliśmy do fabryki, zgodnie ze standardową procedurą, pierwszy mężczyzna przekraczający drzwi zapalał stożkowe lampy zwisające z sufitu na długich, metalowych prętach. Druga grupa świateł mieściła się w biurze nadzorcy i włączał je pan Frowley, przychodząc do pracy o podobnej godzinie jak my. Tego ranka jednakże w biurze nadzorcy było ciemno. Jako że był to pierwszy dzień, w którym nowy nadzorca miał - choćby tylko tymczasowo - przejąć obowiązki pana Frowley'a, założyliśmy, że z jakiegoś powodu osoby tej nie było jeszcze w fabryce. Kiedy jednak światło dnia w końcu przebiło się przez mgłę za wąskimi, prostokątnymi oknami fabryki i biura nadzorcy, zaczęliśmy podejrzewać, że nowy nadzorca - to znaczy, nasz tymczasowy nadzorca - cały ten czas jednak był w biurze. Mówię „podejrzewać”, gdyż przy zgaszonych lampach pomieszczenie to rozświetlało jedynie światło dnia i nie

sposób było stwierdzić, czy po drugiej stronie matowych szyb biura nadzorcy rzeczywiście ktoś był. Jeżeli nowy nadzorca wysłany przez Organizację Quine w chwilowym zastępstwie dla pana Frowley'a rzeczywiście przebywał w biurze na rogu fabryki, to nie poruszał się on w żaden sposób, który pozwoliłby nam odróżnić jego postać od innych rozmytych kształtów widocznych przez matową szybę tego pomieszczenia.

Choć nikt nie powiedział nic, co odwoływałoby się wprost do obecności lub nieobecności nowego nadzorcy w fabryce, widziałem, że niemal każdy z pracowników stojących przy blokach montażowych rzucał czasem okiem w kierunku biura pana Frowley'a. Mój blok był jednym z najbliższych biura nadzorcy i mogłoby się wydawać, że wraz z innymi stojącymi tu ludźmi mogliśmy lepiej niż inni widzieć, czy w środku rzeczywiście ktoś był. Jednak pracownicy stojący przy blokach położonych jeszcze bliżej biura nadzorcy, tak samo jak my wymieniali tylko między sobą ukradkowe spojrzenia, jakby pytali jeden drugiego, „co myślisz?”. Nikt nie był jednak niczego pewien - niczego, co dałoby się wyrazić w jakikolwiek sensowny sposób.

Mimo to, wszyscy zachowywaliśmy się tak, jakby w biurze na rogu rzeczywiście ktoś był, jak gdyby nasze czyny były poddawane starannej analizie i rygorystycznemu nadzorowi. Z upływem kolejnych godzin stawało się coraz bardziej oczywiste, że w biurze nadzorcy jednak ktoś przebywa, choć natura tego lokatora pozostawała niejasna. Podczas pierwszej przerwy w dniu roboczym niektórzy z nas mówili, że nie dało się stwierdzić, czy postać za matowymi szybami w ogóle miała określony kształt, albo czy posiadała jakąkolwiek stałą, trwałą formę. Kilku moich współpracowników mówiło o jakby ciemnej fali sunącej za lub wewnątrz szyby otaczającej biuro

nadzorcy. Twierdzili, że ilekroć skupiali wzrok na tym podobnym do fali ruchu, zamierał on nagle, albo po prostu rozpraszał się jak mgła. Kiedy nadeszła przerwa na posiłek, wymieniliśmy się kolejnymi obserwacjami. Wielu mówiło, że widziało wolno przesuwający się zarys, jakąś ciemną, kulistą formę wyglądającą jak burzowe chmury kłębiące się po niebie. Dla innych była ona niematerialna jak cień – bo pewnie to i był cień – mówili, zaraz jednak dodawali, że cień inny, niż wszystkie jakie dotąd w życiu widzieli: czasem poruszał się w sposób zdawałoby się celowy, kreśląc w powietrzu za matową szybą w kółko i w kółko tę samą trasę, jakby było stworzeniem kręcącym się w klatce. Inni zarzekali się, że coś, co widzieli, miało formę cielesną, ale całkiem nieuchwytną i dziwną. Mówili jedynie o „obszarze głowy” albo „odnodze”, dodając jednak od razu, że partii tych nie można było jednoznacznie uchwycić: „Nie wydaje mi się, żeby to coś siedziało za biurkiem”, twierdził jeden mężczyzna, „wygląda raczej jakby zwisało z góry i było też trochę po bokach”. Widziałem to i ja, stojąc przy swoim bloku montażowym, widziały również osoby pracujące po mojej lewej i prawej stronie. Jedynie pracownik o nazwisku Blecher, stojący dokładnie po drugiej stronie mojego bloku, młodszy od większości osób zatrudnionych w fabryce, a ode mnie zaś starszy pewnie tylko o kilka lat, ani słowem nie opisał tego, co mógł widzieć w biurze nadzorcy. Co więcej, przez cały dzień pracował ze wzrokiem skupionym na kawałkach metalu, kątem jego spojrzenia utknął gdzieś w dole - nawet na czas, kiedy odchodził od bloku montażowego na przerwę, albo by skorzystać z toalety. Ani razu nie przyłapałem go na spoglądaniu w kierunku tego rogu fabryki, od którego reszta z nas ledwie mogła oderwać wzrok. Potem, pod koniec dnia

roboczego, kiedy atmosfera w fabryce stała się ciężka od naszych wypowiedzianych słów i niewypowiedzianych myśli, kiedy między nami, jak i wewnątrz nas, zawisło jakieś niejasne, niepokojące poczucie nadzoru (czułem jakby założono mi jakieś wewnętrzne kajdany, nie pozwalające by moje ciało i umysł odeszły zbyt daleko od stanowiska przy bloku montażowym), Blecher w końcu się zламаł.

„Dość”, powiedział jakby do siebie. Później powtórzył to słowo głośniej, z gwałtownością, która sugerowała, co mógł w sobie nosić przez ten cały dzień. „Dość!” - krzyknął, odchodząc od bloku montażowego i obracając się, by spojrzeć prosto w drzwi biura nadzorcy, które tak jak okna były tylko matową szybą w ramie.

Blecher ruszył szybko w kierunku drzwi biura. Nie zatrzymując się ani na chwilę, nie pukając nawet aby zapowiedzieć swoje wejście, wpadł do sześciennego pokoju i trzasnął za sobą drzwiami. Oczy całej fabryki utkwily teraz na położonym w rogu biurze. Choć panowała między nami niejasność co do fizycznej natury tymczasowego nadzorcy, to jednak nie mieliśmy najmniejszego problemu, by za matowymi szybami dojrzeć zarys Blechera i z łatwością mogliśmy śledzić jego ruchy. Od tego momentu wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko; wszyscy staliśmy ogarnięci paraliżem, jakiego czasem można doświadczyć podczas snu.

Po wejściu do pomieszczenia, Blecher z początku stał sztywno przed biurkiem. Trwał tak jednak tylko przez moment - już chwilę później szamotał się po pokoju, jakby z czymś walczył. Zderzył się z kilkoma szafkami i w końcu upadł na ziemię. Kiedy wstał, zachowywał się, jakby odpędzał rój owadów - wymachując ślepo ramionami, odpierał nawałnicę mętnej,

ruchomej masy unoszącej się nad nim jak drgająca aura. Jego ciało uderzyło z impetem w matową szybę drzwi i przez moment pomyślałem, że przez nią przeleci. Odbił się jednak od niej, by chwilę później wytoczyć się z biura, przystając na sekundę aby na nas spojrzeć - my wszyscy zaś patrzyliśmy na niego. W jego oczach był obłęd i wyraz niezrozumienia, jego ręce drżały.

Blecher pozostawił za sobą na wpół otwarte drzwi, nikt jednak nie próbował zajrzeć do środka. Wyglądał, jakby nie był w stanie ruszyć się z miejsca, choć na wpół otwarte drzwi do biura były zaledwie parę stóp od niego. Po chwili jednak zaczęły się wreszcie powoli za nim zamykać, mimo że nie było widać siły sprawczej tego ruchu. Kiedy w końcu drzwi znalazły się z powrotem we framudze, rozległ się cichy klik. Odgłos przekręcanego po drugiej stronie zamka wybudził Blechera ze stuporu - zerwał się i wybiegł z fabryki na zewnątrz. Nie minęło kilka sekund, a rozległ się przenikliwy, ostry dzwonek sygnalizujący koniec dnia roboczego, choć dokładna pora na opuszczenie naszych bloków montażowych wcale jeszcze nie nadeszła.

Wybudzeni z powrotem do pełni jawy, ruszyliśmy ku wyjściu z fabryki. Idąc w zwartej grupie, poruszając jednostajnie i bezgłośnie, opuściliśmy wszyscy budynek. Na zewnątrz nie było śladu po Blecherze, nie sądzę jednak aby ktokolwiek z nas spodziewał się, że go tam zobaczy. Tak czy inaczej, szarawa mgła w drodze do miasta była tego dnia wyjątkowo gęsta i idąc do domu ledwie się nawzajem widzieliśmy. Nikt z nas nie powiedział ani słowa na temat tego, co się wydarzyło, jakby wiązał nas jakiś pakt milczenia. Jakkolwiek wzmianka na temat incydentu z Blecherem sprawiłaby, że powrót do fabryki stałby się niemożliwy. A nie było żadnego innego miejsca, gdzie mógłbym zarobić na utrzymanie.

Tego wieczoru poszedłem spać wcześniej, biorąc uprzednio solidną dawkę leków, aby mieć pewność, że natychmiast zapadnę w sen, zamiast tak jak ubiegłej nocy przez godzinę leżeć goniąc za myślami o pochodzeniu (gdzieś w ziemi) i dalszym przeznaczeniu (fabryce lub serii fabryk) metalowych kawałków, które składałem przez całe dnie. Obudziłem się wcześniej niż zwykle, lecz zamiast pozostać w pokoju, gdzie najprawdopodobniej zacząłbym myśleć o wczorajszym dniu, poszedłem do małego baru w mieście, gdzie o tej porze serwowali śniadania.

Kiedy wszedłem do środka, okazało się, że jest tam wyjątkowo tłoczno – stoliki, ławki i stołki przy ladzie zajmowali głównie moi współpracownicy z fabryki. Chociaż raz ucieszyłem się na widok tych ludzi, mając ich dotąd za „dożywotników” w pracy, w której sam nigdy nie zamierzałem zbyt długo pozostać - w końcu nadal miałem niejasne, wyższe aspiracje co do mej przyszłości. Przywitałem się z kilkoma z nich idąc w kierunku wolnego stolika przy ladzie. Nie otrzymałem jednak lepszej odpowiedzi niż kiwnięcie głową – mimo, że w zasadzie nikt nie był zajęty jakąkolwiek rozmową.

Usiadłem przy ladzie i zamówiłem śniadanie, po czym zorientowałem się, że mężczyzna siedzący po mojej prawej to pracownik z fabryki, który dzień w dzień stoi przy tym samym bloku montażowym co ja. Byłem całkiem pewien, że nazywał się Nohls, nie posłużyłem się jednak tym nazwiskiem – powiedziałem po prostu w możliwie najcichszy sposób: „dzień dobry”. Przez chwilę Nohls nie odpowiadał, wpatrując się po prostu dalej w leżący przed nim w talerz, z którego powoli i mechanicznie wybierał widelcem małe kawałki jedzenia, a następnie wkładał je sobie do ust. Nie odwracając do mnie twarzy, mówiąc jeszcze cichszym głosem niż ja, Nohls powiedział,

„Słyszałeś o Blecherze?”

„Nie”, wyszeptalem. „Co z nim?”

„Nie żyje”, powiedział Nohls.

„Nie żyje?” odpowiedziałem na tyle głośno, że wszyscy w barze obrócili się i spojrzeli w moją stronę. Kontynuując naszą rozmowę dużo cichszym głosem, spytałem Nohlsa co się stało.

„Ten pensjonat, w którym mieszka... Kobieta prowadząca to miejsce powiedziała, że dziwnie się zachowywał po tym jak... po tym jak wrócił wczoraj z pracy”.

Później – poinformował mnie Nohls – Blecher nie zjawił się na obiad. Kobieta zarządzająca pensjonatem postanowiła do niego zajrzeć i sprawdzić co się stało, lecz Blecher nie odpowiadał na jej pukanie do drzwi. Zaniepokojona, poprosiła jednego z mieszkańców by wszedł do pokoju pana Blechera. Odnaleźli go na jego łóżku – leżał twarzą w dół, a obok niego, na nocnym stoliku, stało kilka pustych opakowań po różnych przypisanych mu lekach. Nie spożył całej zawartości tych opakowań, jednak przyczyną zgonu było przedawkowanie. Być może chciał po prostu wyrzucić z głowy wydarzenia tamtego dnia i porządnie się w nocy wyspać. „Sam tak robiłem”, powiedziałem Nohlsowi.

„Może właśnie tak właśnie było”, odparł Nohls. „Wątpię, by ktokolwiek uzyskał w tej sprawie pewność.”

Po zjedzeniu śniadania, dolewałem sobie kawę za kawą, podobnie zresztą jak pozostali, z Nohlsem włącznie. Zostało nam jeszcze trochę czasu, zanim musieliśmy stawić się w fabryce. W końcu jednak zaczęli przychodzić inni bywalcy baru, wyruszyliśmy więc jedną grupą do pracy.

Do świtu zostało jeszcze parę godzin - droga do fabryki była ciemna i osnuta mgłą. Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że pod drzwiami stało już kilku innych pracowników. Wyglądało na to, że nikt nie chciał wejść do budynku pierwszy i włączyć światła. Dopiero, gdy zebraliśmy się wszyscy, odważyliśmy się wejść do środka. Odkryliśmy wówczas, że tego ranka ktoś nas uprzedził i zapalił lampy przed nami. Jego twarz była dla nas nowa. Stał na starym miejscu Blechera, dokładnie naprzeciw mnie, przy moim bloku montażowym. Zdążył już wykonać sporo pracy, jego ręce poruszały się wściekle, składając zacięcie małe kawałki metalu.

Idąc halą w kierunku naszych stanowisk i odpowiednich bloków montażowych, niemal każdy z nas spojrział podejrzliwie w kierunku tej nowej, stojącej na miejscu Blechera postaci, pracującej, jak już wspominałem, we wściekłym tempie. Tak naprawdę to jednak pracowały wściekle tylko jego ręce, które wyglądały jak dwa duże pajaki uplatające wspólną sieć. Pomijając jego ręce, Blecher stał całkiem spokojnie i wyglądał jak typowy pracownik fabryki. Ubrany w przepisową, dobrze dopasowaną, szarą odzież roboczą, nie był ani zauważalnie starszy, ani wyraźnie młodszy od pozostałych pracowników. Jediną wyróżniającą go cechą stanowiła wściekłość, z jaką pracował, poświęcając temu zajęciu całą swoją uwagę. Nawet kiedy fabryka wypełniła się już innymi ludźmi ubranymi w szarą odzież roboczą, z których niemal każdy spoglądał podejrzliwie na nowego pracownika, ten ani razu nie podniósł oczu znad swego bloku montażowego, gdzie układał te kawałki metalu z taką zaciętością i w tak całkowitym pochłonięciu, że nie zwrócił na nikogo wokół najmniejszej nawet uwagi.

O ile obecność tego nowego pracownika wydawała się czymś

niepokojącym przez to, jak wyglądał tamtego poranka, dzień po tym, jak Blecher przedawkował swoje leki, zajmując jego miejsce dokładnie naprzeciwko mnie, przy moim bloku montażowym - to przynajmniej odciągał on uwagę od zaciemnionego biura zajmowanego przez naszego tymczasowego nadzorcę. Tak jak dzień wcześniej nadzorująca nas postać absorbowała nas całkowicie, tak dziś całą naszą uwagę przyciągał ów nowy pracownik. I choć z jego powodu nasze umysły wręcz kipiały od rozmaitych spekulacji i podejrzeń, to przynajmniej jego obecność nie przyczyniała się do atmosfery upiornych myśli i przeblysków, przez które Blecher popadł w totalny obłęd, postępując tak jak to zrobił wczoraj.

Oczywiście, ktoś w końcu musiał spytać nowego pracownika, skąd się wziął w fabryce. Jako że pracownicy stojący po moich bokach robili co tylko mogli, aby nie zwracać uwagi na zaistniałą sytuację, czułem, że zadanie uzyskania jakichś odpowiedzi spadło na mnie.

„Skąd jesteś?” spytałem mężczyznę stojącego dokładnie naprzeciw mnie, po drugiej stronie bloku montażowego, na miejscu gdzie kiedyś stał Blecher.

„Przysłała mnie firma,” odpowiedział mężczyzna zaskakująco otwartym i swobodnym tonem, ani na sekundę nie odrywając jednak wzroku od swojej pracy.

Przedstawiłem wtedy siebie oraz pozostałych dwóch mężczyzn przy bloku montażowym, którzy w odpowiedzi skinęli głowami i wymamrotali w kierunku obcego słowa pozdrowienia. Zorientowałem się wtedy, że nowy pracownik nie jest zbyt skory, by się odsłaniać.

„Bez urazy,” powiedział. „Ale jest tu cała masa roboty do zrobienia.”

W czasie naszej krótkiej rozmowy nowy pracownik ani na chwilę nie

przestał pracować nad kawałkami metalu. Zauważyłem, że choć jego głowa była cały czas pochylona - tak samo jak głowa Blechera poprzedniego dnia - to jednak jego oczy od czasu do czasu skakały bardzo szybko w kierunku biura nadzorcy. Widząc to, postanowiłem mu więcej nie przeszkadzać, uznając, że może będzie bardziej rozmowny na zbliżającej się przerwie. W międzyczasie pozwoliłem mu dalej pracować we wściekłym tempie, znacznie przekraczającym wydajność któregośkolwiek z pracowników w fabryce.

Po chwili dostrzegłem, że mężczyźni stojący po mojej lewej i prawej stronie starają się naśladować zręczny styl składania tych małych kawałków metalu, a nawet konkurować z niesamowicie wydajnym tempem pracy nowego pracownika. W końcu sam zacząłem robić to samo. Początkowo nasze wysiłki były godne pożałowania - bezskutecznie próbowaliśmy zmusić nasze ręce do naśladowania jego ruchów, które były tak szybkie, że nasze oczy nie mogły za nimi nadążyć. Nasze umysły nie były w stanie rozpracować techniki jego pracy, tak odmiennej od stosowanej przez nas do tej pory. Mimo to, w jakiś niepojęty dla nas sposób, stopniowo osiągnęliśmy podobną prędkość i styl składania kawałków metalu jak on. Nasze wysiłki i nowa metoda pracy nie pozostały niezauważone przez pracowników obok nas. Stopniowo, nowa technika była przekazywana coraz to dalej po fabryce. Do czasu pierwszej przerwy już wszyscy stosowali metodę nowego pracownika.

Nie przerwaliśmy jednak pracy na długo. Gdy stało się jasne, że nowy pracownik nie zatrzyma się ani na sekundę, by dołączyć do nas na planową przerwę, powróciliśmy wszyscy do naszych bloków montażowych, by pracować dalej i robiliśmy to z taką zaciętością, na jaką tylko było nas stać.

Wydajność naszej pracy zaskoczyła nas samych - to, co kiedyś wydawało się czynnością prostą i nużącą, nabrało teraz wirtuozerii zbliżonej do tej, jaką prezentował mężczyzna o nie znanym nam imieniu. Czekałem z niecierpliwością by porozmawiać z nim o wniesionej przez niego zmianie, licząc, że będzie ku temu sposobność podczas zbliżającej się przerwy na posiłek. Nikt jednak nie spodziewał się czekającego nas spektaklu, kiedy czas ten w końcu nadszedł.

Okazało się bowiem, że zamiast opuścić stanowisko przy bloku montażowym na czas sankcjonowanej dotąd przez firmę przerwy, nowy pracownik pracował dalej. Spożywał posiłek jedną ręką, a kawałki metalu składał drugą, choć w nieco wolniejszym tempie niż dotąd. Spektakl ten ukazał nieznaną nam dotąd poziom wirtuozerii w służbie wydajności. Początkowo panowała niechęć przed tym nowym stopniem poświęcenia dla pracy, ku któremu bez ostentacji prowadził nas nowy pracownik. Bardzo szybko stało się jednak jasne, co nim powodowało. Rzecz była prosta: ci pracownicy, którzy całkowicie zaprzestali pracować na czas przerw na posiłek, zaczęli odczuwać lęk a nawet udękę spowodowaną niepokojącą atmosferą panującą w fabryce, której źródło przypisywano tymczasowemu nadzorcy, zajmującemu biuro za matowymi szybami. Z kolei ci pracownicy, którzy pracowali nieprzerwanie przy swoich blokach montażowych, zdawali się być relatywnie nieporuszeni obrazami i wpływami jeszcze wczoraj nękającymi nas wszystkich, choć nie doszliśmy do porozumienia w kwestii ich dokładnej natury. Ostatecznie więc wszyscy szybko nauczyliśmy się jedną ręką spożywać posiłki, a drugą pracować dalej. Nie trzeba dodawać, że na czas naszej ostatniej przerwy nikt nie drgnął sprzed swego bloku

montażowego ani o centymetr.

Dopiero, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka sygnalizującego koniec dnia pracy, co nastąpiło zresztą kilka godzin później niż zwykle, miałem okazję porozmawiać z nowym pracownikiem. Po wyjściu na zewnątrz fabryki, kiedy wszyscy w cichym wyczerpaniu zmierzali z powrotem w kierunku miasta, postanowiłem go dogonić - szedł szybkim krokiem w gęstej, szarawej mgle. Nie przebierałem słów. „Co się dzieje?”, domagałem się wyjaśnień.

Mężczyzna niespodziewanie zatrzymał się i odwrócił w moją stronę, choć przez gęstą mgłę ledwie się nawzajem widzieliśmy. Zauważyłem wtedy, że nieznacznie zwraca głowę się w kierunku fabryki, której budynek był już dość daleko za nami. „Słuchaj, kolego”, powiedział zupełnie szczerym tonem, „Nie chcę kłopotów. Mam nadzieję, że ty również.”

„Czy nie pracowałem równo z tobą?”, powiedziałem. „Czy nie pracowaliśmy tak wszyscy?”

„Tak. Zrobiliście dobry początek”.

„Rozumiem więc, że pracujesz razem z nowym nadzorcą.”

„Nie,” powiedział stanowczo. „nic mi o tym nie wiadomo. Nie mogę ci nic na ten temat powiedzieć”.

„Ale pracowałeś już wcześniej w podobnych warunkach, prawda?”

„Pracuję dla firmy, tak jak ty. Firma mnie tu przysłała.”

„Ale coś musiało się w firmie zmienić,” powiedziałem. „Dzieje się coś nowego.”

„Niezbyt,” odparł. „Organizacja Quine ciągle reguluje i udoskonala sposoby, jakimi prowadzi swoje interesy. Po prostu było trochę czasu, by dotarło to tutaj, do was. Jesteście bardzo daleko od głównej siedziby firmy, a

nawet od najbliższej siedziby regionalnej”.

„Będzie tego więcej, prawda?”

„Możliwe. Ale naprawdę nie ma sensu o tych sprawach dyskutować, a przynajmniej, jeśli chcesz dalej pracować dla firmy. Jeżeli chcesz trzymać się z dala od kłopotów.”

„Jakich kłopotów?”

„Muszę iść. Nie próbuj proszę rozmawiać o tym ze mną ponownie.”

„Chcesz powiedzieć, że złożysz na mnie raport?”

„Nie,” powiedział z oczami zwróconymi w kierunku fabryki. „W tych czasach to już nie jest konieczne.”

Odwrócił się wtedy i, idąc szybkim krokiem, zniknął we mgle.

Następnego ranka wraz z pozostałymi pracownikami wróciłem do fabryki. Pracowaliśmy jeszcze szybciej i byliśmy jeszcze bardziej wydajni. Było tak po części dlatego, że tego dnia dzwonek sygnalizujący koniec pracy rozległ się jeszcze później, niż wczoraj. Stopniowe wydłużanie się czasu spędzanego w fabryce, wraz z narastającym tempem pracy, stało się normą. Nie trzeba było długo czekać, zanim poza terenem fabryki mogliśmy już spędzać tylko kilka godzin – jedyne kilka godzin, jakie nam pozostawało, choć czas ten i tak można było wykorzystać wyłącznie na wypoczynek niezbędny przed powrotem do krańcowo wyczerpujących prac, jakich żądała od nas firma.

Niemniej zawsze miałem wyższe aspiracje co do mojego życia, aspiracje, które z każdym kolejnym dniem stawały się coraz to bardziej mętne. *Muszę złożyć rezygnację ze stanowiska w fabryce.* Słowa te gnały po mym umyśle, kiedy to usiłowałem zyskać kilka godzin snu przed powrotem do pracy. Nie wiedziałem zupełnie, co taki krok mógłby dla mnie oznaczać, jako że nie

miałem żadnych innych perspektyw na własne utrzymanie, nie miałem też odłożonych pieniędzy by opłacić pokój w zamieszkiwanym przez siebie mieszkaniu. Do tego lekarze i farmaceuci wydający leki, dzięki którym egzystencja moja, jak i wszystkich innych ludzi po tej stronie granicy, stawała się w ogóle do zniesienia, wszyscy byli zatrudniani przez Organizację Quine. Mimo wszystkich tych przeciwności, nadal czułem że nie mam wyjścia i muszę złożyć rezygnację ze swego stanowiska w fabryce.

Na końcu korytarza, za drzwiami do mojego mieszkania, znajdowała się mała nisza, w której zamontowano telefon do użytku przez lokatorów budynku. Musiałem złożyć rezygnację korzystając z właśnie tego telefonu, gdyż wykonanie tego we własnej osobie było dla mnie zupełnie nie do wyobrażenia. Nie byłbym w stanie wejść do biura tymczasowego nadzorca, jak zrobił to Blecher. Nie mógłbym wejść do tamtego pomieszczenia otoczonego matowymi szybami, przez które ja i moi współpracownicy obserwowaliśmy coś, co ukazywało się w rozmaitych postaciach i formach, od nieokreślonego kształtu, który zdawał się kotłować i kłębić jak czarna chmura, po coś bardziej określonego, co zdawało się mieć „obszar głowy” oraz „odnogi”. Biorąc to wszystko pod uwagę, zdecydowałem się zadzwonić do najbliższego centrum regionalnego i telefonicznie złożyć rezygnację odpowiedniej osobie zajmującej się takimi sprawami.

Nisza z telefonem na końcu korytarza za drzwiami mojego mieszkania była tak wąska, że musiałem wślizgnąć się do niej bokiem. W przestrzeni tej ledwie byłem w stanie wykonać ruch, aby wrzucić monetę do wiszącego na ścianie telefonu, w panującej tu ciemności z trudem mogłem też dojrzeć wykręcane na tarczy cyfry. Pamiętam, jak bardzo byłem przejęty, aby nie

wykręcić złego numeru, tracąc tym samym pozostałą mi resztkę pieniędzy. Upewniwszy się na wszelkie możliwe sposoby, że uda mi się prawidłowo wykręcić numer – co zdawało się trwać całe godziny, zadzwoniłem w końcu do najbliższego centrum regionalnego firmy.

Przerywany sygnał pobrzmiwał tak długo, że obawiałem się, że nikt nie odbierze. W końcu jednak sygnał ucichł i po krótkiej przerwie rozległ się lewie słyszalny głos. Brzmiał słabo i jakby z dużej odległości.

„Organizacja Quine, Północnozachodnie Centrum Regionalne.”

„Tak,” zacząłem, „chciałbym złożyć rezygnację ze swego stanowiska w firmie,” powiedziałem.

„Przepraszam, czy powiedział pan, że chce odejść z firmy? Brzmi pan jak z wielkiej odległości,” powiedział głos.

„Tak, chcę złożyć rezygnację,” krzyknąłem do słuchawki. „Chcę złożyć rezygnację. Czy mnie słyszać?”

„Tak, słyszę pana. Jednak firma obecnie nie przyjmuje rezygnacji. Przełączę pana do naszego tymczasowego nadzorca.”

„Proszę zaczekać,” powiedziałem, ale rozmowa została już przełączona i ponownie usłyszałem przerywany sygnał powtarzający się tak długo, że wystraszyłem się, że nikt nie odbierze.

Wtedy sygnał ucichł, nie odezwał się też jednak żaden głos. „Halo,” powiedziałem. W odpowiedzi usłyszałem tylko nieokreślony, odbijający się echem hałas – niski, ryczący dźwięk, naprzemiennie cichnący i głośniejący, dudniący jakby niósł się po przepastnych przestrzeniach głęboko w jaskiniach ziemi albo po zachmurzonym niebie. Hałas ten - niskie, bestialskie ryczenie – zdjął mnie grozą, której nie potrafię wyrazić. Cofnąłem słuchawkę

od ucha, jednak ryczący hałas nadal huczał w mojej głowie. Poczułem wtedy, że słuchawka zaczyna drzeć w mojej dłoni, pulsować jak żywa istota. A kiedy trzasnąłem nią o widełki, to drżące, pulsujące wrażenie zaczęło wspinać się po mej ręce, wypełniać całe moje ciało, by w końcu dosięgnąć mego mózgu, gdzie zsynchronizowało się z niskim, ryczącym hałasem, który teraz narastał i narastał, rozbijając moje myśli do stanu tętniącego obłędu, i paraliżując moje ruchy, tak, że nie byłem nawet w stanie krzyknąć o pomoc.

Nigdy nie byłem do końca pewien, czy rzeczywiście kiedykolwiek zadzwoniłem, aby złożyć rezygnację z mego stanowiska w firmie. Nawet jeśli rzeczywiście to się zdarzyło, nigdy nie będę miał pewności czy to, czego doświadczyłem – co usłyszałem i poczułem w tamtej niszy na końcu korytarza przy moim mieszkaniu – w jakikolwiek sposób przypominało sny nawiedzające mnie każdej nocy, odkąd przestałem zjawiać się w fabryce. Żadna dawka leków nie była w stanie powstrzymać tych snów, żadna dawka leków nie była też w stanie wymazać ich z mej pamięci. Po krótkim czasie zażywałem ich już takie ilości, że zostało mi ich za mało, abym mógł przeciążyć się nimi tak jak Blecher. Jako że nie byłem już zatrudniony, nie było mnie stać by zrealizować recepty, a tym samym na pozyskać leki, dzięki którym mogłem znieść swą egzystencję. Oczywiście, gdybym tylko był ku temu skłonny, mógłbym ze sobą skończyć w jakiś inny sposób. Nadal jednak miałem wyższe aspiracje co do swego życia. Dlatego też wróciłem sprawdzić, czy mogę jeszcze odzyskać pracę w fabryce. W końcu osoba z centrum regionalnego, z którą rozmawiałem, mówiła, że Organizacja Quine obecnie nie przyjmuje rezygnacji.

Oczywiście nie mogłem być pewien, co naprawdę powiedziano mi

podczas tej rozmowy, ani czy w ogóle zadzwoniłem, aby złożyć rezygnację ze swego stanowiska w firmie. Do chwili kiedy nie stanąłem ponownie w fabryce, nie wiedziałem, czy była tam dla mnie jeszcze praca w razie, gdybym zechciał do niej wrócić. Okazało się jednak, że miejsce przy moim bloku montażowym, przy którym to stałem długimi godzinami, nadal było wolne. Ubrany już w swój szary strój roboczy, podszedłem do bloku i zacząłem we wściekłym tempie składać te małe kawałki metalu. Nie przerywając zadania, zerknąłem znad bloku montażowego na osobę, o której kiedyś myślałem jako o „nowym pracowniku”.

„Witam z powrotem,” powiedział zwyczajnym głosem.

„Dziękuję,” odpowiedziałem.

„Powiedziałem panu Frowleyowi, że wrócisz lada dzień.”

Na wieść, że tymczasowy nadzorca odszedł i fabryką znów zarządzał pan Frowley, ogarnęła mnie na moment wielka radość. Kiedy jednak spojrzałem w kierunku jego biura na rogu, zauważyłem, że światła za matowymi szybami były zgaszone, choć dało się dojrzeć masywną sylwetkę pana Frowleya siedzącą za biurkiem. Jak się później okazało, był to już jednak inny człowiek. Nikt ani nic w fabryce nie mogło być już takie jak dawniej. Pracowaliśmy teraz właściwie bez przerwy. Niektórzy z nas zaczęli zostawać w fabryce na noc, przespiając jakąś godzinę w którymś z kątów, by zaraz potem dalej pracować przy przypisanym bloku montażowym.

Po tym jak wróciłem do pracy, przestały mnie nękać koszmary, z powodu których znów znalazłem się w fabryce. Nadal jednak dało się niewyraźnie odczuć atmosferę tych koszmarów, tak podobną to tego, co nasz tymczasowy nadzorca sprowadził ze sobą do fabryki. Sądzę, że wzbudzenie poczucia

nieustannie doglądającej nas obecności tymczasowego nadzorcy, było zabiegiem precyzyjnie wykalkulowanym przez Organizację Quine, która to ciągle reguluje i udoskonala sposoby, jakimi prowadzi swoje interesy.

Firma utrzymała swą politykę nie przyjmowania rezygnacji. W pewnym momencie rozszerzono ją nawet o zakaz przechodzenia na emeryturę. Przypisano nam wszystkim nowe leki, nie potrafię jednak powiedzieć dokładnie, jak wiele lat temu to się stało. Nikt w fabryce nie pamięta jak długo tu pracujemy, ani w jakim jesteśmy wieku. Nasze tempo i produktywność dalej jednak rosną. Zdaje się, że ani firma, ani nasz tymczasowy nadzorca, nigdy z nami nie skończą. Jesteśmy jednak w końcu tylko ludźmi i pewnego dnia musimy umrzeć. To jedyna emerytura, jakiej możemy się spodziewać, choć nikt z nas nie wyczekuje jej nadejścia. Nie możemy przestać sobie wyobrażać, co czeka nas po niej czeka – jakie plany może wobec nas mieć firma i jaką ma w nim rolę nasz tymczasowy nadzorca. Praca we wściekłym tempie i składanie tych małych kawałków metalu pozwalają nam utrzymać myśli z daleka od tych spraw.